Rafał Marszałek

**Przystanek**

Tak się jakoś utarło, że styczeń bierzemy za początek. Euforia sylwestrowa i masowy nakład ściennych kalendarzy utrwalają to przyzwyczajenie, a gdy trzeba, dyscyplinują nielicznych niedowiarków. Tylko natura reaguje po swojemu. Styczniowe ranki są ciemno bure. Nie obiecują nowego otwarcia. W przedłużającym się zmroku prowadzą wędrowca krętymi ścieżkami, czasem złośliwie mylą tropy.

N. N. bez żadnej konieczności, lecz z wieloletniego nawyku, obudził się kwadrans po szóstej. Rozbudził się, ale przez dłuższą chwilę nie wstawał. Ciemność, jak zwykle zimą, do niczego nie zachęcała. Gorzej jeszcze: tego poranka kryło się w niej coś odstręczającego. N. leżał spięty. Wydawało mu się, że został przygwożdżony czyimś nieprzyjaznym spojrzeniem. Źródła wrogości trudno było dociec. Próżno też było szukać kogoś, kto tak napastliwie ci się przygląda. Pokój był mały, nikt nigdy nie dzielił go nocą z gospodarzem. Nawet Marta, zawsze ewakuowała się wcześnie, głupio tłumacząc, że musi wracać do domu, by nie gorszyć córki. Dla ujarzmienia lęku potrzeba szczypty dystansu. N. przyglądnął się sobie - siedemdziesięciolatkowi, zwiniętemu w pozycji embrionalnej, z głową przyduszoną poduszkami. Najpierw go to zdziwiło, a potem trochę rozbawiło. Żeby poprawić marny wizerunek, energicznie podniósł się z łóżka.

Spieszyć się nie było dokąd. Epidemia szalejąca na całym świecie, zaatakowała Europę i nieuchronnie dotarła do Polski. Choć z nieznanych przyczyn nie ogłoszono stanu klęski żywiołowej, życie wszędzie zamarło. Słaba pociecha, że wokół nie było wcale lepiej. Nawet w krajach manifestujących bezgraniczną wolność pojawił się areszt domowy pod nazwą kwarantanny; gdzieniegdzie wprowadzono godzinę policyjną. Lockdown, który podważył materialną egzystencję mnóstwa ludzi, wcale nie zlikwidował niebezpieczeństwa. Po opustoszałych ulicach przechadzał się triumfujący wirus. Naprawdę myślicie, że gdy ukryjecie się w domach za zaryglowanymi drzwiami, to się rozpłynę w powietrzu? Dobre sobie. Poczekam cierpliwie, aż w końcu znów wychyniecie ze swoich kryjówek.

Źródła pandemii pozostawały nieodgadnione. Poczęto ją w Państwie Środka, ale jak i po co, tego nikt nie wiedział. Pogłoska, że przyczynił się do tego straszny błąd laboranta konkurowała z hipotezą, że Chińczycy z rozmysłem budowali poligon doświadczalny dla broni biologicznej. To drugie bardziej przemawiało do masowej wyobraźni. O planach zagłady ludzkości mówiono już znacznie wcześniej. Po trucicielskiej niebieskości przestworzy i złowrogo czerniejącym śniegu, po smugach chemicznych tak zaprojektowanych, żeby ograniczyć płodność, Covid byłby kolejnym etapem destrukcji. Wokół tych wątków rozwijała się amatorska, ale coraz poważniejsza myśl naukowa. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że stawką jest zapanowanie nad światem i zniewolenie milionów ludzi. Tych, którzy inwazję wirusa przeżyją, czekają obozy koncentracyjne. Dlatego zamiast borykać się z tak zwaną pandemią, należy zniszczyć jej mitologię. Tak jak to odważnie czynią niektórzy dyktatorzy, po ojcowską troską opiekujący się ludzkimi masami w swoich krajach. Pandemia to po prostu czyjś wymysł, jesteście bezpieczni, nie pozwólcie, żeby was omamiła cyniczna propaganda fundowana przez elity.

Takie głosy płynęły z boku i z góry. A znów tam na samym dole, o nabrzmiewającej jak ropień porannej godzinie, na szpitalnych podjazdach, gdzie nagle i złowróżbnie milkły klaksony karetek pogotowia, w ciasnych korytarzach, gdzie pochyleni nad noszami uwijali się ludzie w białych, kosmicznych kombinezonach, w przepełnionych salach, w których spod respiratorów wydobywały się na przemian chrapliwe i zamierające dźwięki – tam wszędzie szła dzika walka o życie. Na tym froncie nie brano jeńców i nie celebrowano pożegnań. Za dużo zachodu, za mało czasu.

To wszystko widziane jakby przez szybę. Bezruch i ostrożność zdawały się chronić samego N. przed zagrożeniem. Nie udzielała mu się panika, nie hodował w sobie strachów. Trapiły go poważniejsze od wirusa problemy. Samotność po odejściu Marty, początkowo, co dziwne, ledwie odczuwana, w ostatnich miesiącach nagle go powaliła jak choroba. Coraz bardziej też frustrował niedostatek. Mimo że N. zaliczał się do uprzywilejowanych obywateli posiadających oszczędności, kwota siedmiu tysięcy trzystu złotych nie mogła uchodzić za szczęśliwą siódemkę. Miesięcznie trzeba było dokładać co najmniej dwieście pięćdziesiąt złotych do emerytury. Łatwo obliczyć, jak to się może skończyć. Na pewno zbłądził, rzucając kiedyś pracę w pierwszym, nieprzemyślanym odruchu.

A przecież wcale nie musiał. W oczach czytelników miejskiej biblioteki, N.N. stał się przez lata elementem jej wyposażenia takim samym jak księgozbiór. Robił za maître–d’ hôtela, doradcę, akuszera, przewodnika i opiekuna. Błogostan skończył się wraz z przyjściem nowej kierowniczki. Była tak młoda, że N. musiał się powstrzymać, żeby nie zwracać się do niej per „córuś”. Zwłaszcza, że ona z pewnością nie chciałaby mieć takiego jak on ojca. Różniły ich nie tylko doświadczenia, ale przede wszystkim gusta. Pani kierowniczka, jak każda trzydziestolatka wyposażona w komplet wiedzy o otaczającym świecie, poddawała podwładnego metodycznej reedukacji. Protekcjonalny ton nauczycielki może i był bezwiedny. Lecz, tak czy inaczej, napięcie z każdym tygodniem narastało. Czasem najbardziej ciąży to, co niewypowiedziane. Dla obojga było jasne, że poza wszystkim ona ma go za zgrzybiałego nieudacznika.

Przesilenie nastąpiło na spotkaniu autorskim. Kierowniczka, przy pozorowanej współpracy N., zorganizowała je z nadzieją, że bywalczynie biblioteki, zwłaszcza te sędziwe, porzucą choć na chwilę swój zaścianek i zasmakują w nowoczesnych kulturowych prądach. A nadarzała się ku temu wyśmienita okazja. Prąd przemian wdarł się na senne, skażone rutyną terytorium książek. Badacze działający pod patronatem Instytutu Pamięci Literackiej zaproponowali by uważniej przyjrzeć się schedzie po rodzimych dziewiętnastowiecznych klasykach. Lustracja wykazała, że wielu tych wziętych autorów wcale nie zasługiwało na zakorzenienie w szkolnych lekturach. Wyszło na jaw, że byli oni ksenofobami, heroldami ciemnego polskiego nacjonalizmu, a niekiedy nawet apologetami kolonializmu . Jedną z ofiar lustracji omalże nie stała się Maria K., autorka toksycznego wersetu – „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy”. W ostatniej chwili przyszło ocalenie. Konopnicka zawdzięczała je Reducie Dobrego Imienia Pisarzy. Okazało się, że przy takich swoich wadach jak bogoojczyźniana skaza czy uporczywe dziecioróbstwo, Maria potrafiła upomnieć się o samostanowienie kobiet i umiała się otworzyć na nową obyczajowość. Intymne szczegóły jej biografii rychło zostały rozpropagowane przez Redutę Dobrego Imienia. Właśnie na tej fali zapowiedziano w kaliskiej bibliotece odczyt: „Konopnicka: ‘matka – Polka’ czy kobieta wyzwolona?”.

Prawda ,że mimo atrakcyjnego tematu bywały wieczory bardziej udane. Kilka sędziwych, trochę przygłuchych entuzjastek, kierowniczka i jej podwładny, a na proscenium objuczony notatkami czterdziestoletni docent przybyły z Poznania. Jego monotonny głos dopasował się do sennej atmosfery spotkania, porażka frekwencyjna bardzo na tym zaciążyła. W pewnej chwili, na krótko, pojawiła się nadzieja, że osób zainteresowanych odczytem będzie jednak więcej. Na progu pojawiła się młodziutka nauczycielka z grupą pierwszoklasistów – maluchów o dziwnie pomarszczonych twarzach, za to pogodnych i bardzo kolorowo ubranych. – Serdecznie zapraszamy! – na ich widok zerwała się kierowniczka. Wychowana na Harrym Potterze nie rozpoznała sierotki Marysi i krasnoludków, powołanych kiedyś do życia przez Konopnicką. – Bardzo dziękujemy, ale niestety innym razem. Dziś jesteśmy już spóźnieni na lekcję wychowania obywatelskiego on-line – grzecznie, lecz stanowczo wymówiła się sierotka Marysia. W pośpiechu wycofała się, pociągając za sobą wyraźnie rozczarowanych podopiecznych. Nic przecież bardziej nie rajcowało krasnoludków niż żądza wiedzy o biseksualizmie ich mamusi.

Rozczarowanie pani kierowniczki skrupiło się na bibliotekarzu. Ledwie zamknęły się drzwi za naburmuszonym docentem i jego przysypiającymi słuchaczkami, a szefowa pociągnęła swego podwładnego na zaplecze i jęła mu czynić wyrzuty Nie zadbał o frekwencję, bo zupełnie nie czuje nowych, ożywczych prądów. W ogóle od dłuższego czasu współpraca z nim kuleje. Brak wymaganej aktywności, nietrafione porady dla czytelników. Dość spojrzeć na żałosną kartę wypożyczeń polecanych przez niego tytułów. Dziecinna chyba gra w klasy, coś o Patriarszych Prudach, niedokończona rzecz o człowieku bez właściwości czy jakaś księga istot zmyślonych. Rzeczy cofnięte głęboko w czasie, zawstydzająco egocentryczne, oddalone od problemów społeczeństwa. Istna kolekcja zasuszonych motyli. Co na tym można budować? – A mnie się marzy literatura cywilizacyjnych wyzwań – oczy kierowniczki nagle rozbłysły – na przykład wielka, współczesna, zaangażowana powieść o śladzie węglowym.

Stali w ciasnym przejściu między półkami , gdzie trudno było oddychać. Przeniesiona z dalekiego kraju, owa intensywna kombinacja zapachów – świeżych grzybów, drzewnych narośli i skondensowanej wilgoci – przepełniała powietrze. Wzmocniła ją jeszcze dławiąca woń bursztynowej oliwy, przesyconej tajemniczym aromatem, z pomocą którego Piękna Remedios bezwiednie udręczała i wysyłała po kolei na pewny zgon swoich zalotników. Pod nogami N. powoli rozlewała się struga krwi. Wyczuł ją wcześniej, niż zobaczył. Płynęła niepowstrzymana po podłodze, okrążała czytelnię, na krótko wypływała na zewnątrz, na schodki werandy, by z powrotem rozpełznąć się gęstą strugą pod drzwiami zamkniętego sekretariatu. N. przeląkł się, że po otwarciu drzwi kierowniczka to jego oskarży o spowodowanie śmierci Jose Arcadia. Na szczęście do niej nie dotarło, co i jak zdarzyło się wtedy w Macondo. I pewno nigdy się tego nie dowie. Ech, w ogóle o czym tu mówić. Impuls chwili: ewakuacja wydała mu się konieczna.

- Jak zdrówko, panie sąsiedzie? – zagadnął wychodzącego na ulicę N., jak zawsze pogodny pan Stefan. - Właśnie zmieniłem czternastoletnią skodę na pięcioletnią mazdę. Jadę teraz wypróbować tę srebrną strzałę.

To było we wtorek. W czwartek pan Stefan znalazł się jako pasażer w zupełnie innym samochodzie. A w sobotę już go nie było. Wydarzenie zatrwożyło mieszkańców posesji. Jeszcze w zeszłym roku dowodem na nieistnienie pandemii było to, że nikt w najbliższym otoczeniu nie zetknął się z jej ofiarami. Później, raz po raz, zaczęły się pojawiać czyjeś nazwiska i jakieś adresy. Wreszcie nastąpiła faza krytyczna. Widać, że śmierć zaczaiła się dosłownie tuż za progiem. Nie ma pana Stefana? Tego wesołka z czwartej klatki? Kiedy i jak? No, przecież to nie do uwierzenia.

N., równie przejęty dramatem, poczuł się niepewnie jeszcze z innego powodu. Zatrwożyła go technologiczna precyzja. Jak to możliwe, żeby chiński pocisk balistyczny DF-318, wystrzelony z odległości ośmiu tysięcy kilometrów, trafił akurat prosto w mieszkańca niewielkiego wielkopolskiego grodu. Zupełnie tak, jakby niszczycielska siła, kiedyś kojarzona z barbarzyńskim, masowym atakiem na Hiroszimę, teraz przesunęła się w stronę pojedynczych istnień ludzkich. Osobisty antagonizm między przywódcą Chińskiej Republiki Ludowej a kaliszaninem Stefanem W. wydawał się mało prawdopodobny. Skoro nie o politykę chodziło, to szło chyba o jakieś szczególne wspomaganie metafizyki. Los przestał być ślepy. Został przez kogoś doskonale zaprogramowany.

Raptowne odejście sąsiada nadwyrężyło psychikę mizantropa. Właśnie wtedy zrodziło się w N. przedziwne pragnienie, by zachować wszystko wokół w nienaruszonej postaci. To, co ważne powinno się wyrwać niszczącej presji. Ostatecznie pamiętamy, że mimo wszelkich przeszkód, patriarcha Noe potrafił pomieścić w arce nie tylko rodzinę, ale cały inwentarz żywy. Dlaczego jemu, N., nie miałoby się to samo udać w jego miniaturowym światku? Uspokoić atmosferę, sporządzić coś w rodzaju bibliotecznego skontrum. Zebrać wszystkich razem, sprawdzić czy i jak żyją; gdy trzeba zaopiekować się słabeuszami. Wówczas normalność wróci. A i jemu samemu będzie na duszy lepiej.

Zaczął od rodziny i przyjaciół. Początek inspekcji był obiecujący. Wujostwo przyklejeni do telewizora, więc zastraszeni – ani im w głowie wychodzenie z domu. To samo z bezdzietnym małżeństwem przyjaciół: wtuleni w siebie, w obawie o życie, gotowi byli z góry poddać się wszelkim administracyjnym restrykcjom. Od innego rówieśnika płynął zaś głos rozsądku: zamiast róbta, co chceta, po prostu róbta, co musita.

Przyszły jednak niepowodzenia. Najpierw obezwładniający nekrolog Joaśki, studenckiej sympatii. Później kolega, z którym N. utrzymywał stały kontakt, przestał odpowiadać na maile. Może znów nie dotarły do adresata? - pocieszał się N., dotknięty indolencją komputerową, jak wielu jego rówieśnych. Jednak nie było też znaku życia od starego druha licealnego. Wielokrotne próby nawiązania łączności nic nie dały, komórka milczała. Któregoś dnia, wieczorem, N. pojechał na peryferie miasta, żeby sprawdzić na miejscu przyczynę. Bez skutku: głuchy domofon nie różnił się od telefonu. Niby nie musiało to oznaczać niczego złego. A jednak N. poczuł ,że zwolna traci poczucie bezpieczeństwa.

Nerwowa szperanina po starym notatniku adresowym pogłębiła to wrażenie. Co najmniej jedną trzecią nazwisk trzeba było skreślić. N. zniósł więc wyjściowe limity i skierował lornetkę w stronę podgrodzia. Krzątało się tam kilkoro ludzi znanych jedynie z widzenia, ale zakorzenionych w pejzażu. Dwie ekspedientki ze spożywczego trwały na posterunku, kioskarka od gazet ponoć wzięła tylko krótki, szczęściem nie covidowy, urlop. N., wybierając na chybił trafił, do grona potencjalnych podopiecznych dołączył kierowcę autobusu, z którym przez lata dojeżdżał do pracy. Znali się doskonale, mimo że bez słów. Sprawdźmy co u niego. I jeśli on ma się dobrze, to można będzie zamknąć całą inwentaryzację.

Zadanie nie wyglądało na czasochłonne. Piątka ze swoimi piętnastoma przystankami między Toruńską a Wyszyńskiego, ma trasę krótszą niż inne. W pierwszym autobusie, który nadjechał, nie było znajomego kierowcy. To samo w następnym. N. zdecydował się poczekać jeszcze na kolejny. Zamiast niego na pustawej ulicy pojawili się dwaj młodzi rowerzyści, roznosiciele restauracyjnych potraw. Ścigali się środkiem jezdni, całym pędem. Wysłannik Glovo minął zwycięsko metę na wysokości wiaty. Reprezentant klubu Pyszne.pl, nie dość że przegrał o pół koła, to jak długi runął na bruk, tuż pod nogami kobiety siedzącej na drugim końcu ławki. Ta miała wygląd emerytowanej nauczycielki. Zamiast krzyknąć z przestrachu, ogarnęła leżącego zimnym, karcącym, wzrokiem. Doprawdy nie ma końca tym kretyńskim wygłupom.

Po kilku dniach N. ponowił próbę . Wolno podchodził do przystanku. Z zamyślenia wyrwał go widok osoby siedzącej na ławce. Zdziwiło go, że ta sama kobieta usadowiła się na tym samym co poprzednio miejscu. Przypadkowe sąsiedztwo nie było mu wcale na rękę. Musiał się przecież liczyć z tym, że w stronę wiaty przywieje któregoś ze znajomych, a ów zapyta o powód przesiadywania N. na przystanku. Naturalna odpowiedź, że spóźnił się na autobus odpadała właśnie przez obecność niechcianego świadka. Trzeba byłoby wtedy wsiąść ze znajomym do następnego wehikułu porzucając posterunek. Bez sensu. A jeszcze wcześniej drażniąca perspektywa, że kobieta do niego zagada. Dziesięć minut jałowej pogawędki - jeszcze tego brakowało. Co prawda, drzemiąca w kącie sąsiadka wcale nie wyglądała na rozmowną. Przyjechał autobus, a po nim następny. Bez poszukiwanego kierowcy.

Tydzień później scena powtórzyła się niczym zatrzymany kadr w filmie. Znowu ta sama kobieta. Tak jak poprzednio, tkwiła nieruchomo i wcale nie pokwapiła się, żeby wsiąść do nadjeżdżającego autobusu. N. miał swój powód takiego zachowania, ale ona? Coś było nie tak. Szybko wstał opuszczając punkt obserwacyjny znacznie wcześniej niż zamierzał.

Następnym razem, żeby pozbyć się drażniącego towarzystwa, zmienił punkt startowy wybierając odległy o dwieście metrów przystanek. Wcale nie był pewny, czy tym razem obędzie się wreszcie bez zakłóceń. Chyba jako ofiara samospełniającego się podejrzenia odnalazł niechcianą kompanię i tutaj. Kobieta jakby rozszyfrowała jego zamysł. Znów czekała na niego, dyskretnie i skromnie usadowiona na skraju ławki. Nie zabrała mu ani skrawka przestrzeni, nieprawdaż? A komunikację mamy publiczną, miejsca na przystankowych ławkach i wewnątrz autobusu nie są numerowane.

N. w zastępstwie intruzki , sam ułożył takie ewentualne jej tłumaczenie. Nie uśmierzyło to jednak wzrastającego w nim niepokoju. Na próżno starał się kontrolować. Ubrdało mu się, że staje się obiektem czyjejś obserwacji. Rozdrażniony i coraz bardziej niepewny, zuchowato wzruszył ramionami. Przy założeniu, że to prawda, a nie jakiś majak, przyjdzie zamienić się rolami. Poświęcę ci trochę czasu, natrętna babo. Tym razem to ja postaram się wyśledzić, skąd i kiedy przychodzisz.

W niedzielę, najgorszy dzień tygodnia dla takich jak on samotników, N. poszedł na ligowy mecz siatkarek. Kiedyś, w okresie świetności, ich mecze rozgrywano w starej, ciasnej hali, za to z udziałem słynnej drużyny Calisia – Augusto. Teraz odwrotnie. Wybudowana wielkim kosztem przed piętnastoma laty, imponująca rozmachem, Arena Kalisz stała się przytuliskiem dla miejscowej, zupełnie przeciętnej drużyny. Dzisiaj w rzadkiej dla siebie roli faworyta, podejmowała ona outsidera ekstraklasy, młody zespół Jokera Świecie, w którym, wbrew nazwie, żadnego dżokera nie było. Mecz, najeżony obustronnymi błędami, okazał się niespodziewanie zacięty. Doszło do decydującej rozgrywki - prawdziwego horroru. Przyjezdne wyszły z niej zwycięsko, wygrywając tie-break w stosunku osiemnaście do szesnastu. Ich radość prawdziwie eksplodowała. W obozie gospodyń widać było rozczarowanie. Jednak nie więcej: oto kolejny epizod wpisany w monotonną egzystencję. Tylko środkowa bloku, trawiona ambicją, roztrzęsiona, biadała nad niepowodzeniem. Trener Jacek, postawny mężczyzna, na pozór surowy dla podopiecznych, zamiast wymówek wziął się za pocieszanie zawodniczki. Przekonywał ją, że to nie trzęsienie ziemi. W jego ustach było to szczere. Prywatny koniec świata nie tak dawno jemu samemu się zdarzył, gdy na kilkanaście miesięcy jako ofiara sądowej pomyłki trafił do serbskiego więzienia

Wracając do domu, N. rozpamiętywał tę scenę bez emocji, która dawniej by mu towarzyszyła. Może dlatego, że szło o wynik trzeciorzędnych zawodów. Ale przecież rozpacz przegranej siatkarki objawiła się dokładnie w tym samym miejscu, co niebotyczne szczęście jej poprzedniczek, u schyłku zeszłego wieku, po wygranym meczu kaliskiej drużyny z Besiktasem Stambuł w Lidze Mistrzyń. Nie było gorszym, ani lepszym doznaniem, wnikało równie głęboko w sferę przeżyć. Musiał więc być jeszcze jakiś inny powód odczuwanego zobojętnienia. N. pomyślał, że to przez pustkę pandemicznych trybun.

Cóż za kontrast z przeszłością! Niegdysiejsze uniesienia kibiców niemal rozsadzały halę. Radosny zgiełk był potężnym detonatorem. Wiadomość o kaliskim wybuchu popłynęła natychmiast przez całą Polskę, jeszcze przez tydzień utrzymywała się w obrazie telewizyjnym, w eterze, w gazetach, nie tylko sportowych. Tak jakby udana przygoda kilku kobiet z piłką była ważna dla historii. N. jak inni widzowie, był wtedy tego pewien. A dzisiaj nagle zwątpił w rangę przesławnego wydarzenia. Cisza w pustej hali obezwładniała. Odarta z aury świeciła golizną. Gdy na dłużej ustał hałas trybun, wyszła na jaw niepokaźność tego, co stało się wówczas na boisku. Złapał się na tym, że nawet on, wierny kibic, poza Elą Kulpą, „gromowładną Elą”, nie pamięta już ani jednego nazwiska bohaterek meczu z Besiktasem. Przedwczorajszy entuzjazm tłumów rozproszył się jak bańka mydlana.

Niepamięć zjada wszystko. To dlatego siedemnastolatkowie powierzają swoją wieczną miłość dobroczynnemu drzewu. Jasiek i Małgośka. Tu byliśmy. 10 lipca 2017 roku. Scyzoryk wnika w korę wcale jej nie raniąc. Jednak, już pojutrze, słota zrobi swoje i wymaże dziecinny przypis. Nie, żadnych Jasia i Małgosi pod tym drzewem nigdy nie było. Tak jak tutaj. Czysta łza środkowej bloku spłynie na podłogę przez nikogo niezauważona. Zaraz po meczu, razem z całym brudkiem i lepkim potem, zetrze się ją z boiskowego parkietu. Z parkietu i z wieczności.

Śledztwo niespodziewanie kulminowało już w poniedziałek. Krytycznego przedpołudnia było ich troje: kobieta siedząca jak zwykle na przystanku, mężczyzna, który ją z oddalenia podglądał oraz ten, kto podglądał tego, który podglądał. Determinacja N. mocowała się z chłodnym dystansem jego alter – ego. Żaden nie zyskiwał przewagi w tych zmaganiach. Gdy pierwszy N. przysięgał sobie, że sprawy nie odpuści, ten drugi narzucał się z drażniącym pytaniem: co ja, do diabła, tu właściwie robię? Tak trwali ukryci pod rozłożystym drzewem przestępując z ambitnej na sceptyczną nogę.

Po upływie pół godziny na horyzoncie pojawiła się postać młodego mężczyzny. Maszerował trochę chybotliwym krokiem. Dostrzegłszy kobietę zwolnił, zatrzymał się i pokazał coś jej małym, prawie niezauważalnym gestem. Wtedy ona, ku zdziwieniu N., pogrzebała w torebce, podniosła się z ławki i w pewnej odległości szybko podreptała za nim. Chłopak był profesjonalistą. Zajął pozycję strategiczną w okolicach piekarni: głodnemu mało kto odmówi bułki. Niekiedy zdarzają się takie niefortunne incydenty, jak prostoduszny zakup pieczywa zamiast zrzutki. Na ogół jednak filantropia jest bilonowa. Po niedługim czasie złakniony zebrał więc środki potrzebne dla zaspokojenie głodu. Skinął na swoją towarzyszkę i oboje zaraz zniknęli za rogiem budynku. Mieścił się tam całodobowy sezam monopolowy.

Sławnego detektywa N. oszołomiło tak proste rozwiązanie zagadki. Z jednej strony oddech ulgi, że wszystko się wreszcie skończyło; z drugiej – znów irytujące poczucie nieudolności. Jak mógł zapomnieć, że żyjemy w ojczyźnie przetworzonego ziemniaka? Najpewniej menelka wyczuła bratnią duszę w nim, ławkowym sąsiedzie i cierpliwie czekała na upragniony sygnał: dwoje do flaszki. A nie narzucała się z własną propozycją, bo to widocznie nie mieściło się w środowiskowym kodzie. Możliwe też, pochlebił sobie N., że ze swoim solidnym wyglądem, nie wzbudził w kobiecie nadziei na solidarną wędrówkę do wódopoju.

Mniejsza o to. N. poczuł się upokorzony swoją obsesyjną podejrzliwością, tą samą, która go irytowała u innych. I dopiero teraz sobie uświadomił, że tak długo zaplątany w  przystankową paranoję, porzucił cel pierwotny. Oto pośród zabawy w Indian, staruszek dzieckiem podszyty, zupełnie zapomniał o kierowcy autobusu. Powrotu zaś nie było. Gdy już się zmarnowało tyle energii, niepodobna było wznowić tamtego poszukiwania. Zwłaszcza, że ono przecież od początku także było pretensjonalnym wmówieniem. Chimera wyobraźni galopująca za inną chimerą.

Nieoczekiwany telefon od Aldonki. W ciągu piętnastu miesięcy, które minęły od śmierci Marty, jej córka skontaktowała się z N. tylko raz i to w jakiejś błahej sprawie. Trzeźwo rzecz oceniając, nie było się czemu dziwić. Dla Aldony N. miał status partnera jej matki. Zupełnie tak jakby łączyło ich wspólnictwo w kancelarii adwokackiej lub partnerstwo handlowe przy eksporcie śledzi. Pod wygodną, rozpowszechnioną nazwą bezpowrotnie zanikała intymność ich związku, ginęła czułość. Jednak nazwy nie służą przecież do pomiaru uczuć. I skądinąd bywają znacznie gorsze. Lepiej być partnerem niż konkubentem, pocieszał się N. Tak czy inaczej, w kontaktach z Aldonką, czuł się niepewnie. Dawniej przez to, że niechcący zburzył relację córki z matką. Sześćdziesięciolatka spontanicznie bratała się z życiem w przeciwieństwie do trzydziestolatki brnącej w kompleksy, obolałej po kolejnych nieudanych związkach. Teraz zaś, po odejściu Marty, mogło się wydawać Aldonie, że N. prawem kaduka zawłaszczył część rodzinnego terytorium. Chcąc nie chcąc musiała się z nim dzielić wspomnieniami, które do niego nigdy nie powinny należeć. Był i na zawsze pozostanie intruzem.

Tym razem telefon służył dziewczynie do odreagowania. Co za syf z tą całą epidemią, ile fatalnych reakcji gorszych od samego wirusa. Idiotyzm urzędowych zakazów i nakazów, które tak często się zmieniają, że nikt za nimi nie nadąży. Presja wywierana na nas, wolnych ludzi. Pozwalam innym zakładać kaganiec, ale sama chodzę bez maseczki. Co komu do tego? A tu nieznośna atmosfera strachu, przed którą nawet na Facebooku nie sposób uciec, telewizja coraz bezczelniej pasożytująca na tych ochłapach. Śluby odwołane, wesela zabronione, nawet gdy się zaprosi tylko setkę najbliższych przyjaciół. Wszystko na głucho zamknięte, a jak już pozwolą coś otworzyć, to są to knieje otwarte od początku wszechświata. Przemykają się po nich ogłupiali ludziska w przeciwgazowych maskach i w lateksowych rękawiczkach. Nawet do sklepu przedpołudniem wejść nie można, bo zrobiono jakieś specjalne godziny dla seniorów. A im, jak zawsze, mylą się zakupy ze zwiedzaniem muzeów. Snują się, ględzą, mędzą, zamiast załatw sprawę i żegnaj. I jeszcze ci stuletni pensjonariusze domów spokojnej starości…

Nie dokończywszy ostatniego zdania Aldonka mocno nacisnęła na hamulec. Na ostrym zakręcie omal nie wypadli z drogi. Gdyby do tego doszło, N., mimo że zapięty w pas bezpieczeństwa, zostałby wytypowany jako ofiara i sprawca wypadku zarazem. Z góry można było się spodziewać, do jakiego bezlitosnego finału zmierza monolog Aldony. Narzucał się morał o winie i karze. Oto za pesel takich indywiduów jak N. musiało płacić całe społeczeństwo. Sytuacja podobna jak z grzechem pierworodnym. Z tą jednak różnicą, że N. nie podjął żadnego szkodliwego działania. Po prostu uparł się, żeby żyć: trudno byłoby go karać za instynkt samozachowawczy. Aldonka wyprowadziła pojazd z poślizgu i już nie ponowiła agresywnego manewru. Oboje zamilkli. Udawali, że nic się nie stało.

Ona zajęła się globalną statystyką znajdując w niej jeszcze jeden argument za tym ,żeby nie poddawać się histerii. Ludność Indii liczy miliard i trzysta milionów. Liczba zgonów nie przekroczyła tam dotąd nawet ćwierci miliona. Więc to jakaś kropelka w oceanie, a nie żadna apokalipsa. On jeszcze raz wrócił do kartki papieru zawieszonej na murze koło apteki. „*Pilnie szukam kogoś, kto pracuje w szpitalu na Poznańskiej. Mój ojciec od tygodnia leży tam pod respiratorem, a ja nie mam pojęcia, co z nim się dzieje. Chodzi mi tylko o to, żeby ktoś od czasu do czasu potrzymał Tatę za rękę*”. Na dole kartka rozszczepiała się na kilkanaście błagalnych, wąskich pasków z wypisanym numerem komórki. Trwały nienaruszone.

Jak to często bywa z nieśmiałymi, N. dopiero nazajutrz dał upust irytacji. W przeszłości musiał już raz pogodzić się z tym, że z jakichś przyczyn zaliczono go do kategorii Polaków gorszego sortu. Teraz z wyroku Aldony spadł jeszcze niżej: do sutereny, w której tłoczyli się ludzie zbędni. Nie mógł sobie darować wczorajszej pasywności. Poniewczasie obmyślał błyskotliwe riposty, które mogły powstrzymać szarżującą Aldonkę, a których ona nie usłyszy. Bezradność. Chętnie by się na smarkuli zemścił, ale jak? Gdy zapodziały się gdzieś celne słowa, może znajdą się jakieś prowokacyjne czyny. Właśnie w ten sposób zrodziła się myśl o szczepieniu.

Propagowana w ostatnich tygodniach idea szczepienia nie przekreślała sposobu myślenia Aldonki, ale oficjalnie z nim kolidowała. Wiadomo, że najpraktyczniej byłoby pozbyć się starych i słabych. Kłopot z niestosownie żywotnymi staruchami powinien być jednak wpisany w krąg wartości demokracji liberalnej. Narzucająca się praktyka zrzucania ich ze skały znalazła szlachetny rewers w postaci szczepionki. Odizolować osiemdziesięcio-latków, potem zebrać ich do kupy, zaszczepić w pierwszym rzucie i bez administracyjnych ceregieli. Dalej niech się już sami bujają. Do wiadomego końca.

Perspektywa przedłużenia życia spotkała się z radosnym odzewem najstarszych. Natychmiast po ogłoszeniu godziny „W” uwiesili się u telefonów, zablokowali infolinię, udeptali wzdłuż i wszerz internetowe profile pacjenta. Siedemdziesięciolatków na krótko dołączył do tej wybranej grupy szczęśliwy przypadek. Szum informacyjny między prezydentem państwa i jego naczelnikiem, ministrem zdrowia i pełnomocnikiem rządu do spraw niezdrowych, otworzył dosłownie na dwie doby możliwość zapisu na szczepionki młodocianemu rocznikowi 1950-Plus. N.N. zdecydował się skorzystać z okazji. Wyobraził sobie, jak z tego powodu zdenerwuje się Aldonka. Przynajmniej tyle spóźnionej satysfakcji.

 Mimo, że okienko na zapisy już za kilkanaście godzin miało zostać zamknięte, N. niespiesznie zbliżał się do punktu rejestracji. Bądź co bądź sterowała nim bardziej przekora, niż prawdziwie odczuwana potrzeba. Musiał liczyć się z porażką, bo wiadomo, że najambitniejsi konkurenci zwykli rozpoczynać zawody już w środku nocy. Jest wpół do ósmej, pod przychodnią z pewnością kłębi się tłum kilkusetosobowy. Czekał go jednak nieoczekiwany widok. Zaledwie dwadzieścia parę osób imitowało wielkie zgromadzenie.

Ludzie stali mocno rozciągnięci przestrzegając zalecanej odległości, elegancko nazywanej dystansem społecznym. Mało kto odważyłby przyznać, że chodzi po prostu o sprywatyzowanie przestrzeni. To coś znacznie ważniejszego niż wybór między maseczką filtrującą typu FFP3, a maseczką bawełnianą, o której z wyczuciem estetycznym napisano, iż „*nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś w jednym ze sklepów dostępnych na Domodi znalazł piękny designerski model*”. Magiczne półtora metra dzielące cię od sąsiada powinno dać gwarancję przetrwania. Owszem, zdarzają się wyjątki, ale one potwierdzają egzystencjalną regułę.

Tuż przed okienkiem zamkniętej jeszcze rejestracji wywiązała się sprzeczka o pierwszeństwo w kolejce. Wszczęto ją dość leniwie, jakby z pokoleniowego przyzwyczajenia. Dzisiejsze kolejki, jeśli w ogóle istnieją, są krótkie i mizerne. Nie to, co prawdziwa, poważna kolejka z dawnych czasów; ta która nie mogła się obyć bez kontrolowanej co godzina społecznej listy, ani bez fundamentalnego oskarżenia, że pan tu nie stał. Więc teraz cała zwada uwolniona była od agresji, tyle że zbyt powoli dogasała. – Proszę państwa, nie ma się co denerwować – wyrwało się N.N. – Wszyscy przecież zdążymy. Zza pleców doleciał go czyjś cichy śmiech. - To prawda. Każdy w swoim czasie. Odwrócił się i zobaczył nieznajomą z przystanku.

Ona jednym krokiem złamała półtorametrową odległość, tak jakby była ponad urzędowe zakazy. Przybliżyła się do niego tak bardzo, że oddechy obojga zdawały się zlewać. Z bliska zajrzała mu w oczy. N.N. znieruchomiał pod jej przenikliwym wzrokiem. Tylko w pierwszym momencie mógł się łudzić, że wzięła go za kogoś innego. Tajemna zaborczość głęboko wyżłobiła jej spojrzenie.